Tadeusz Rufiński
Białystok

Białystok 6.02.2014

Platieliaj, czyli WP 2014

W tym roku na bazę Trasy Litewskiej ponownie wybraliśmy Platieliaj. Byliśmy tam w 2009 roku, a elementem, który najbardziej utrwalił się w pamięci uczestników był tamtejszy Ośrodek Wczasowy, pieszczotliwie nazywany Alcatrazem. I właśnie wiodące hasło trasy: „Powrót na Żmudź czyli do Alcatraz" pojawiło się już podczas zakończenia ubiegłorocznych WP.

Z kroniki Wędrówek wynika, iż jest to nasz jedenasty, zimowy wyjazd na Litwę. Każdy z nich był inny, każdy przynosił inne doświadczenia i emocje. W kilku przypadkach jechaliśmy do poznanych poprzednio miejscowości, ale pomimo tego, że nocowaliśmy w tych samych budynkach, przebieg każdej z imprez był krańcowo odmienny. To właśnie jest najdziwniejsze: ci sami uczestnicy (około 80%), niby ten sam krajobraz i znane, kilkakrotnie przebyte szlaki, - a każdorazowo odkrywaliśmy coś nowego i nieznanego. Niewątpliwie największy wpływ miała pogoda, która decydowała o przebiegu i charakterze Wędrówek. I właśnie ten, pogodowy czynnik, w okresie ostatnich kilkunastu lat, okazuje się być niebywale kapryśnym!

„Wędrówki Północy z roku na rok stają się imprezą coraz mniej przewidywalną".

Napisałem to zdanie i teraz zastanawiam się jak je uzasadnić. Gdy się dobrze przyjrzeć to właściwie cały nasz Świat stał się jakiś nieprzewidywalny. Bynajmniej, nie mam tu na myśli spraw politycznych, - w tym zakresie to już dawno rządzi Chaos i Przypadek. Natomiast klimat nam się rzeczywiście zmienia, poplątały się pory roku, coraz więcej dziwacznych zjawisk pogodowych. Zgłupiały flora i fauna. Dziś w TV słyszę, że przyleciał pierwszy bocian, a przecież to dopiero początek lutego. Przed trzema tygodniami, czyli w połowie stycznia, na mojej działce kwitły stokrotki i nawet żółty bratek rozwinął się tuż po Sylwestrze. Tak samo jest z tymi naszymi Wędrówkami, niby szykuję sprzęt narciarski, ale podświadomie zabieram buty do pieszej wędrówki. Pakując do plecaka gruby sweter wkładam też lekką koszulę – a może się przyda? Gdzież są te prawdziwe, solidne zimy, gdzież te słoneczne, gorące lata….?

W tej chwili uświadomiłem sobie, że te same słowa mówiła moja Babcia. Przynajmniej raz w tygodniu narzekała na pogodę, która oczywiście w jej młodości była znacznie lepsza, - taka jak Bozia przykazała.

"Przed wojną to były takie mrozy, takie zaspy, że przez tydzień nie można było wyjść do sąsiadów, a latem – latem to można było w piasku ugotować jajko" Oczywiście było to przed I Wojną! A potem, według Babci, to już było tylko gorzej i gorzej!

Jak z tego widać narzekanie na pogodę ma wielowiekową tradycję. A że teraz do tego włączono i polityków i ekonomistów i nawiedzonych meteorologów i glacjologów, zaprzęgnięto tysiące komputerów i dziesiątki satelitów, prozaiczne narzekanie zyskało „naukowe" podłoże. I mamy to, co mamy. Akurat teraz widzę przez okno chyba z pięć kotów, którym luty pomieszał się z marcem! A w Hrubieszowie już piąty dzień odkopują drogę do jakiejś leśnej osady! Cóż, trzeba się pogodzić z tym, że w czasach dzieciństwa (naszego, rodziców, dziadków) zawsze było lepiej, oczywiście, gdy chodzi o pogodę!. Ale dosyć tego filozoficznego narzekania na klimat.

Zmiany były i będą i właśnie na tym polega urok życia i piękno Wędrówek Północy i w ogóle TURYSTYKI!

****

Pora przejść do konkretu, czyli do tegorocznego wyjazdu na Litwę. I tutaj znów mam dylemat – jak to opisać? Nie mam najmniejszej ochoty na jeszcze jeden dziennik ze szczegółowym opisem tras – zresztą nie byłem na wszystkich, więc nie byłaby to „prawdziwa prawda". Nie chce mi się także „wymyślać" opowiadania o przeżyciach uczestników, każdy miał inne, niektórzy bardzo osobiste. Więc i taki opis byłby nietrafiony i nader ubogi.

No cóż, siedzę sobie, myślę i myślę, gapię się na te koty przed blokiem. Zostały już tylko trzy, - widocznie jedna para jest już po zaręczynach? Czytam od początku to, co już napisałem. Nie jest najlepsze, ale później poprawię. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia – i nagle jest – „filozofia". A jak filozofia to i starożytny opis świata. Sprawdzam w Wikipedii, a jakże, – dawny Świat sprowadzał się do czterech Żywiołów: Ziemi, Wody, Powietrza i Ognia! Krótkie zastanowienie, - tak, wszystkie te elementy w specyficzny sposób zdominowały nasz pobyt w Platieliaj. Więc „pojadę" po Żywiołach!

Zanim przejdę do „filozofowania" jeszcze krótkie słowo wstępne. Na trzy dni przed wyjazdem, czyli 22 stycznia, lista trasy litewskiej liczyła 50 uczestników. Dzień później trzy osoby zrezygnowały, na godzinę przed wyjazdem zachorował jeszcze jeden kolega, więc do autobusu wsiadło 46 osób. W takim też składzie dojechaliśmy do celu, czyli niewielkiego żmudzkiego miasteczka Platieliaj. Wszystkim udało się, wraz z bagażami i nartami dotrzeć do reprezentacyjnego holu w ośrodku wczasowym Saltinelis. Naszej kierowniczce, Dużej Beacie, udało się poupychać towarzystwo w pokojach. Wszyscy powinni wydać westchnienie ulgi, ale nic z tego. I tu zacznę opis pierwszego z Żywiołów, czyli Ognia, a właściwie jego braku.

OGIEŃ

Pierwsze wrażenie – **ZIMNO**. W pokojach jak w psiarni, na framugach okien lód, zamiast łazienki – chłodnia, kaloryfery ledwo, ledwo letnie. Paradoksalnie, najcieplejszym miejscem okazało się wnętrze lodówki, w której zapewne zachowały się wspomnienia jesiennej atmosfery. Kierownik ośrodka, o pięknym imieniu Walentyna, jak się potem okazało również właściciel, potrafił jedynie szeroko rozkładać ręce i tłumaczyć, że jest zima i – 20 stopni.

„Sorry, ale taki mamy klimat".

W rzeczywistości to Litwini zawalili sprawę, bowiem zamiast zacząć grzać dwie – trzy doby przed naszym przyjazdem, rozpalili w kotłowni prawdopodobnie wtedy, gdy wjeżdżaliśmy w opłotki Platieliaj. Dodatkowo wynikły jakieś niesnaski pomiędzy kierownictwem i miejscowym palaczem, bowiem po paru godzinach kaloryfery z letnich zmieniły się na wiosenne. Atmosfera na pierwszej wieczornej odprawie była nader gęsta, wszyscy siedzieli zakutani w skafandry, z każdym oddechem wznosiły się obłoczki pary, a propozycja obejrzenia basenu i sauny wywołała jedynie szczękanie zębów. Tu trzeba wspomnieć, że Saltinelis to ogromne gmaszysko pobudowane w stylu monumentalnego socrealizmu. Przemrożone na wylot, grube na kilkadziesiąt centymetrów, betonowe ściany, imponujący hol ze schodami o stopniach, na których mogło stanąć obok siebie sześciu turystów. Policzyłem to na pamiątkowym zdjęciu, gdy cała nasza ponad 40-to osobowa grupa zmieściła się na siedmiu stopniach – nie licząc Jarka, który gustownie rozłożył się na podłodze. Ale to zdjęcie zrobiliśmy w ostatni wieczór, gdy zarówno humory jak i temperatura uzyskały prawidłowy poziom. Żeby nagrzać taki budynek trzeba, co kilka godzin solidnie dokładać do pieca i systematycznie czyścić rusztу. I tu objawił się heroizm naszego kolegi Andrzeja. Już pierwszego wieczoru, z całym samozaparciem dostał się do kotłowni i „ dał czadu". Kaloryfery zrobiły się gorące, zniknęły sople wiszące we framugach okien i gdy nie otwierało się drzwi na hol w pokojach można było wytrzymać. Andrzej, który zyskał przydomek Hefajstosa, z tych kotłowych dyżurów wracał, lekko podwędzony, ze smugami sadzy na rękach i twarzy. Ale obiektywnie muszę przyznać, że tylko dzięki niemu została przywrócona właściwa pozycja dla Żywiołu Ognia. I

tylko dzięki niemu Wędrówki nie zakończyły się po pierwszej dobie. W następnych dniach, przykład Andrzeja podziałał dopingująco na ambicje gospodarza, bowiem dało się żyć i nawet na noc nie trzeba było wkładać czapek i skafandrów – wystarczyły dwie kołdry.

Aby zakończyć Ogniowy wątek muszę jeszcze wspomnieć o czymś zupełnie wyjątkowym. Aby nawiązać do antycznej historii, - jak wszystkim wiadomo, ogień został wykradziony z Olimpu przez Prometeusza i przekazany ludziom dla ich dobra. Kilka tysięcy lat potem, Diabeł też wykradł coś w rodzaju ognia, ale na zgubę ludzkości. A mówiąc konkretnie, we wtorek, zwiedzaliśmy radziecką wyrzutnię rakiet termojądrowych. Wstrząsające!! Nie będę opisywał tego, co można było zobaczyć w podziemnych bunkrach i silosach, bowiem budowle te przypominają skorupę poczwarki, z której w każdej chwili mogła wylęgnąć się ŚMIERĆ. I to śmierć w swojej najgorszej, apokaliptycznej postaci! Cztery stacjonujące tam rakiety, każda o mocy dziesięciokrotnie przekraczającej bombę z Hiroszimy, mogły obrócić w perzynę dowolny europejski kraj. A gdy jeszcze uświadomi się sobie, że to wszystko istniało tak niedawno, (rakiety wywieziono w 1978 roku), robi się gorąco. Tym bardziej, że przecież te rakiety i głowice tylko wywieziono, a po modernizacji – gdzieś tam czekają na komendę: „**Огонь**”!!.

Wystarczy o ogniu, teraz pora trochę napisać o wodzie.

WODA

Niewielkie Platieliaj (ok. 1 000 mieszkańców) leży nad uroczym, jednym z większych na Litwie jezior o tej samej nazwie. Jadąc tam mieliśmy nadzieję, że poza częściowo zamarzniętym jeziorem znajdziemy odpowiednią ilość śniegu i może nieco lodu na leśnych strumykach i polnych sadzawkach, no i oczywiście trochę mgieł, – czyli wodę w trzech podstawowych stanach skupienia. Rzeczywistość drastycznie przekroczyła te oczekiwania. W Platieliaj okazało się, że tych stanów, w których może istnieć woda jest znacznie więcej. Zacznę od specyficznego śniegu, bo z nim zetknęliśmy się zaraz po wyjściu z autokaru.

W Suwałkach był to normalny, biały śnieg. Skrzypiał nieco pod butami, nie było go zbyt wiele, ale dawał nadzieję na użycie nart. W trakcie jazdy poprzez Litwę, początkowo białe pola, przybierały coraz bardziej szaro-zielony odcień. Za Kownem, już tylko gdzie niegdzie w dolinkach, można było dostrzec bielejące połacie. Na Żmudzi nie wyglądało to lepiej.

A w Platieliaj okazało się, że to białe, co miejscami leży na ziemi to coś bardzo dziwnego. Wystarczyło schylić się, aby z bliska zobaczyć nader skomplikowaną strukturę kryształków zlodowaciałej szreni. Te nieco kuliste kształty wyglądały tak jakby wykonano je z najdelikatniejszej koronki, wielkości od mirabelki do małego jabłuszka, skrzyły się w słońcu tęczowymi refleksami. Mnie przypominało to dywan usypany z pączków białych róż. Prawdopodobnie był to efekt gwałtownego zamarzania niesionych wiatrem tumanów mgły, bowiem te różane pączki można było zaobserwować na krawędziach wzniesień, chociaż podziwiałem je i w bagiennych dolinkach i na brzegu jeziora. Ten śnieg nie skrzypiał pod nartami, on trzeszczał, tak jak pod butami trzeszczy drobny chrust lub suche, późnojesienne liście. Oczywiście był też bardziej normalny śnieg, sypki, zmrożony, ale w tak małych ilościach, że po trzech pierwszych dniach, gdy poruszaliśmy się na nartach, znaczna część grupy zaczęła preferować wędrówki piesze. Pozostała część darła narty na całego, lub wraz z Małą Beatą ćwiczyła na kilku pagórkach gdzie dziwnym trafem więcej było białego śniegu niż płatów żółtego żwiru i czarnych kretowisk.

Lód, który zastaliśmy w Platieliaj także był całkiem inny niż ten, do którego przywykliśmy na dotychczasowych Wędrówkach. Na pierwszy wypad, w niedzielny poranek, postanowiliśmy zobaczyć jezioro. Gospodarz naszego noclegowiska gwarantował nam, że tafla

lodu jest gruba na min. 20 cm i w pełni bezpieczna tylko, że jest „pobełtana". Nie bardzo wiedząc, co by to miało oznaczać, zeszliśmy lub zjechali ze stromego brzegu i powoli, ostrożnie weszliśmy na lód.

To wrażenie jest naprawdę niespotykane i piękne. Przed nami rozciąga się chyba najdziwniejszy widok. Cała powierzchnię jeziora pokrywają niekształtne kawałki lodu, który pokruszony falami ponownie zamarzł na podobieństwo ogromnego pomarszczonego we wszystkich kierunkach dywanu. Na brzegach każdej z wykrzywionych tafelek, ocierających się o siebie, zanim ostatecznie wmarzły, utworzył się, wysoki na kilka centymetrów koronkowy wianuszek białej, zmielonej szreni. Same tafelki są na tyle przejrzyste, że widać zielone wodorosty i kolorowe kamyczki na dnie jeziora. Poruszanie się na nartach, po tak dziwnym podłożu to prawdziwa akrobatyka. Deski, co chwila zaczepiają o sterczące lodowe pazury, rozjeżdżają się na boki, krzyżują. Kijki, pomimo naostrzonych szpiców, co raz ześlizgują się w najmniej spodziewanych momentach. Syberyjski, zimny wiatr wciska się za kołnierz, szczypie w policzki i złośliwie spycha w bok. Wszystkie te utrudnienia powodują, że rezygnujemy z wycieczki na przeciwległy, wschodni brzeg jeziora, a postanawiamy dotrzeć do jego północnego krańca gdzie widać jakieś zabudowania. Gdy po kilkunastu minutach przedzierania się przez „pobełtany" lód (dopiero teraz rozumiem, co miał na myśli Walentyna), podchodzimy do pierwszej z wysp, nagle wszystko się zmienia. Cichnie wiatr, a powykrzywiana tafla lodu zamienia się przezroczystą, gładziutką szybę. Uczucie jest niesamowite. Lód i ponad metrowa warstwa wody pod nim są tak przejrzyste, że widać każdy szczegół dna, pień zatopionego drzewa, nieruchome pędy moczarki, pokryte zielonym nalotem głazy. Ten widok jest tak nierzeczywisty, że w pierwszym momencie boję się ruszyć dalej. Mam wrażenie, że wystarczy mocniejszy nacisk lub silniejsze uderzenie kijkiem, a ta kryształowa szyba pryśnie. Dopiero widok starego pęknięcia, która przecina lodową taflę uspokaja mnie. Zygzakowata, jasna wstęga ma szerokość ponad 15 centymetrów, więc nic nam nie grozi! Mocniej odpycham się kijkami i suuuunę kilkanaście metrów, i jeszcze raz i jeszcze. Frajda kończy się nader szybko. Gdy tylko wysuwamy się zza osłony wyspy lód robi się „pobełtany", narty krzyżują się i oczywiście leżę jak długi. A wstać trudno! W końcu, po dwóch kilometrach lodowych „atrakcji" prawie wszyscy docieramy do północnego brzegu. Prawie, bowiem parę dziewczyn zrezygnowało i po kilkudziesięciu metrach zawróciło wraz z Małą Beatą, aby poćwiczyć na normalnym śniegu.

Na powrót starym szlakiem nikt nie ma ochoty, więc po krótkiej pauzie schodzimy na lód, aby przeciąć jeziorną zatokę w jej najwęższym miejscu. Ktoś proponuje, aby posuwać się przez pasmo przybrzeżnych oczeretów. Nic z tego, - wmarznięte w lód trzciny i sitowie są twarde i sztywne jak druty. Pozostaje nam tylko ponowne wyjście na toń. Na tym odcinku, zapewne na skutek osłony przez wysoki, zalesiony brzeg, lód także przypomina kryształową szybę. Po raz pierwszy odważam się wyciągnąć aparat fotograficzny i „pstryknąć" wielobarwną mozaikę kamieni, szkoda, że przepływająca rybka jest zbyt szybka na moje niepewne ruchy. Niepewne, bowiem trudno ustać na szklistej tafli, gdzie każdy silniejszy podmuch wiatru popycha w bok, a gołe ręce błyskawicznie drętwieją.

Po pokonaniu zatoki i przedarciu się przez nadbrzeżne chaszcze natrafiamy na szeroką, żwirową ścieżkę i do Saltinelis wracamy pieszo. W nadbrzeżnym lesie, na duktach i pomiędzy drzewami zielono i zaledwie niewielkie plamki śniegu!

Forma jeziornego lodu, nie tylko dla mnie, jest zaskoczeniem, jeszcze większe wrażenie na nas wszystkich zrobił lód bagienny. Któregoś dnia odkryliśmy, tuż obok naszego domostwa, schowaną między drzewami, głęboką, bagienną dolinkę. Powstała zapewne na skutek działalności bobrów, które pobudowały tamę na spływającym do jeziora strumyku. Dobitnie świadczą o tym dwa ogromne żeremia wystające przeszło 2 metry ponad warstwę lodu. Lód ten, nieco mniej przezroczysty w porównaniu z jeziornym, krył uwięzione w swojej tafli setki rybek. Małe cierniki, nieco większe uklejki i płotki, całkiem spore szczupaczki tkwiły

niczym pradawne owady zatopione w bryłkach bursztynu. Proces zamarzania musiał być tak szybki, iż nie miały one szansy na ucieczkę. Mróz musiał zaatakować wręcz błyskawiczne, bowiem w lodzie utknęły także pęcherzyki gazu błotnego, tworząc sznury srebrzystych, spłaszczonych baloników. Do tych niesamowitych kształtów i zawartości lodowych tafli trzeba doliczyć całą paletę kolorów. Poczynając od mleczno białych, pękających z trzaskiem, cienkich lodowych szybek, kończąc na posadowionych na bagiennym mule, agatowo czarnych bloków grubego lodu. A pomiędzy tymi barwami można było zobaczyć lód we wszystkich odcieniach brązu, żółci i rudej rdzy, w jeziornych zatoczkach miał kolor zielonkawy przechodzący w jasny błękit, a w promieniach zachodzącego słońca przypominał stare, zmatowiałe złoto, wieczorem zaś, w świetle księżyca lśnił rtęciowym blaskiem. (Przyznaję się, że tą poświatę księżycową to sobie wymyśliłem, bo po nocy nie włóczyłem się, ani po jeziorze ani po bagnach, – ale jestem przekonany, że właśnie taka ona była).

Dobrze, o lodzie już wystarczy, - pora przejść do wody jako takiej, czyli w stanie płynnym. A była takowa i to w najmniej spodziewanych miejscach.

Wyobraźcie sobie jezioro skute lodem, takim na kilkanaście centymetrów, wyobraźcie sobie narciarza, który sunie z wiatrem po gładkiej w tym miejscu tafli i wyobraźcie sobie jego minę, gdy nagle, parę metrów przed sobą, widzi falującą powierzchnię wody. A tak właśnie było na jeziorze Platieliaj. Prawdopodobnie podwodne źródlisko nie dopuściło do zamarznięcia około 5 m² odkrytej wody. Nikt z naszych Wędrowców nie wpadł do tej pułapki, bowiem po mordędze w trakcie pierwszej wycieczki, w następnych dniach niewielu było chętnych na pokonywanie „pobełtanego" lodu. Ja zobaczyłem tą naturalną przerębel w piątek, gdy poszedłem zrobić kilka zdjęć na nadbrzeżnym bagienku. Ot po prostu, kilkanaście metrów od brzegu, na skraju zarośniętej zatoczki, wesoło chlupotała sobie woda!

Inna „wodna" przygoda przydarzyła się w poniedziałek jednemu z uczestników, z południa kraju. Na polach okalających Platieliaj natrafiliśmy na kilka rowów melioracyjnych. Przeprawa przez taki kanałek wyglądała niewinnie! Ot, spadziste i strome brzegi, ale na dnie zaledwie metrowy pasek, lekko przysypanego śniegiem lodu, - nic trudnego. Co prawda kilka metrów dalej widać było stróżkę płynącej wody, - co powinno być poważnym ostrzeżeniem! Większość grupy już przeszła, część odpięła deski, kilka osób przeprawiła się na nartach. Kolegów ów, z nartami w ręku, zamiast dać większy krok i przeskoczyć pasemko lodu, stanął na jego środku. Trzask, plusk i - utkwił zanurzony prawie do pasa. Przy naszej pomocy udało się mu, prawie natychmiast wydostać, ale musiał biegiem wracać do domu. Wróciły z nim jeszcze dwie osoby, jako asekuracja, na szczęście przygoda zakończyła się dobrze, nawet bez kataru.

Jak się okazało, w następnych dniach znaleźliśmy podobną „mokrą" pułapkę na bagnie o wymownej nazwie Syberia.

Bagno jest urokliwe. Zajmuje kilkukilometrową nieckę pomiędzy wysokimi wałami morenowymi. W głąb niecki wciskają się długie pasma sosnowego lasu zakończone rachitycznymi brzozami i gęstwiną oczeretu. Powierzchnia bagniska, tylko z daleka wydaje się płaska, w rzeczywistości to zbiorowiska kopulastych kęp, pomiędzy którymi kryje się, teraz zamarznięta, sieć strumyków, kanałków i błotnistych dołków. Trzeba bardzo uważać, aby nie zaplątać się w przykrytych śniegiem sitowiach i nie przewrócić się na gładkiej tafli lodowego oczka. Dopiero za drugim pobytem na Syberii dostrzegliśmy lekki opar wznoszący się zza kępy nieco wyższych trzcin. Okazało się, że na tym wymrożonym do samego dna bagnisku też można trafić na pozbawione lodu źródlisko. Wolę nawet nie myśleć o tym jak mogłaby skończyć się wędrówka w nocy, we mgle lub gęstej śnieżycy.

Podobnie nieprzyjemne uczucie miałem wtedy, gdy we dwójkę z Thomasem wybraliśmy się pieszo na północny kraniec jeziora. Nadbrzeżna ścieżka wyprowadziła nas na teren używanej w lecie plaży. Aby skrócić drogę powrotną postanowiliśmy przeciąć po lodzie niewielką zatoczkę. Bez przeszkód doszliśmy do podszytego trzcinami i sitowiem pasma olszyn.

Prześwitujący pomiędzy drzewami brzeg wydawał się tak bliski, że bez wahania zaczęliśmy przedzierać się przez coraz większą gęstwinę. Wszystko szło dobrze dopóty, dopóki pod butami czuło się twardy lód, ale w pewnym momencie, coś trzasnęło i okazało się, że prawa noga powoli pogrąża się w szlamie. Jakoś udało mi się wdrapać na kępę sitowia, Thomasowi także. Na szczęście do brzegu było nie więcej niż 5 metrów, więc skacząc od jednej kępy do drugiej i chwytając się za gałęzie drzew, szczęśliwie wydostaliśmy się z tego rozmokłego bagna. Rozmokłego przy temperaturze powietrza - 15º, a w nocy było - 25º !

Z wodnych stanów skupienia pozostała jeszcze para. Oczywiście była takowa i to przegrzana do temperatury +110º, - oczywiście w miejscowej saunie. W saunie osobiście nie byłem, więc nie mogę opisać jej atrakcji. Słyszałem natomiast o długotrwałym werbunku odpowiedniego „wsadu" i kłopotach wynikających z koedukacji i „tekstylności" strojów. Co by nie mówić „cebrzyk" nad brzegiem jeziora w Dusiatych to było to….!!!!

Zupełnie, ale to zupełnie, czym innym było parowanie śniegu, czyli sublimacja. Wiem, że brzmi to naukowo i podejrzanie, ale to szczera prawda. Pomimo temperatury, zarówno we dnie, jak i w nocy, znacznie poniżej - 10º ilość śniegu wyraźnie się zmniejszała. Wiatr nie mógł go wywiać, bowiem był na to zbyt zlodowaciały! A codziennie było go mniej – nic innego, tylko sublimacja!

W ten sposób skończyłem opis Wodnego Żywiołu i pora przejść do dwóch pozostałych: Ziemi i Powietrza. Chociaż chwila, - przypomniała mi się jeszcze jedna wodna atrakcja: - spłuczka w toalecie. Zaraz po przyjeździe okazało się, że prawie we wszystkich pomieszczeniach źle działają spłuczki WC. Albo woda leci bez przerwy, albo nie leci w ogóle. Dość naiwne próby naprawy przez kierownika Ośrodka i jednoczesne stwierdzenie, że urządzenia chyba pozamarzały i z czasem zaczną działać właściwie, nie rozwiązało problemu. Dokładna analiza wnętrza płuczki wykazała, iż urządzenie ma z pewnością 20 lat, a rozwiązanie konstrukcyjne jest jednocześnie skomplikowane i prymitywne. Wyjście z problemu okazało się jeszcze bardziej prymitywne, ale za to skuteczne. Wystarczył zwykły kij, którym po spuszczeniu wody należało umiejętnie nacisnąć na niebieską klapkę, - i po kłopocie. Ze względów ekologicznych (byliśmy na terenie Żmudzkiego Parku) koleżanka z naszego pokoju postarała się o kawałek wierzby, ściętej i misternie okorowanej przez bobra. Była nawet propozycja, aby ten kij i związany z nim patent sprzedać Walentynie za odpowiednią kwotę litów, ale jakoś nie doszło do negocjacji. A teraz zgodnie z obietnicą żywioł Ziemi!

ZIEMIA

Okolice Platieliaj, a właściwie większość Żmudzi są doskonałym przykładem nader aktywnej działalności lodowca, szczególnie w trakcie ostatniego glacjału. Zarówno jezioro jak i otaczające je pasma wzgórz z bagnistymi kotlinami to typowy krajobraz polodowcowy. Potwierdzają to potężne głazy narzutowe, pokryte żwirem dno jeziora i strome, gliniasto-piaszczyste zbocza pagórków. Naukowe potwierdzenie znaleźliśmy w miejscowym Muzeum, gdzie nader pomysłowo zademonstrowane są struktury geologiczne. Lodowiec, na tych północnych terenach Litwy stał znacznie dłużej niż na polskich Mazurach, czy Suwalszczyźnie. Stąd też więcej miał czasu na ukształtowanie terenu, a co za tym idzie, erozja tych tworów jest zdecydowanie mniejsza. Taki polodowcowy teren to wprost raj dla narciarstwa śladowego. Oczywiście pod warunkiem, że na tych wszystkich morenach: - bocznych i czołowych, na ozach i sandrach, na drumlinach będzie odpowiednia warstwa śniegu. A tym razem go nie było! (Zresztą sześć lat temu też go nie było!) A gdy już pogodziliśmy się z tym, że Wędrówki Północy w pieszym wariancie też są piękne, bez nart obeszliśmy praktycznie całą okolicę. Naturalnie była, pod wodzą Jarka, grupa zagorzałych „wyrypiarzy". Ci dosłownie czuli żywioł Ziemi pod nartami. Zdarli zapewne nie tylko warstwę poślizgową, ale i dobrali się do

rdzenia swoich desek. Gdyby Wędrówki trwały nieco dłużej, Jarkowi zostałyby same wiązania? Ja z częścią uczestników próbowaliśmy tych atrakcji w pierwszych dniach i szczerze przyznam – mieliśmy dosyć. O jeździe po jeziornym lodzie już wspominałem, – paskudnie, a na polach, było jeszcze gorzej. Posuwaliśmy się wyszukując spłachetki śniegu na krawędziach rowów, brzegach dróg, na skraju zagajników i w zagłębieniach. Oczywiście nigdzie nie była to normalna jazda. Wszędzie sterczały wiechetki zeschłych chwastów, kępki traw i największe utrapienie: kopce kretów. Nawet tam, gdzie wydawało się, że jest kilkucentymetrowa powłoka śniegu, po wjechaniu okazywało się, że na wierzchu jest warstewka nawianego piasku, a pod spodem zgrzytają żwirowe kamyczki. Tym razem żywioł Ziemi zdecydowanie i dosłownie górował ponad śniegowym żywiołem Wody.

POWIETRZE

Muszę się przyznać, że o tym Żywiole mam najmniej do napisania. Parafrazując stare powiedzenie o koniu mógłbym napisać: „Powietrze, jakie jest każdy widzi", ale jakoś nie uchodzi. A więc napiszę banalną prawdę: powietrze w Platieliaj jest niebywale czyste. Tu nie ma żadnego przemysłu, żadnych składowisk odpadów, a radziecki kołchoz jest w stanie ruiny. Dym z naszej kotłowni (opalanej wyłącznie drewnem) i to, co wyleciało z kominów wiejskich domków czyniło atmosferę jedynie bardziej naturalną i swojską. Tam naprawdę lekko się oddycha. Nasi koledzy ze Śląska, Krakowa a nawet Warszawy musieli pierwsze dni pobytu poświęcić na aklimatyzację. Świadczyła o tym zwiększona ilość pustych opakowań szklanych po „aktywatorze akomodacyjnym", czyli doskonałych litewskich nalewkach.

To były oczywiście żarty, bowiem miejscowe powietrze, poza tym, że było rzeczywiście czyste, miało także mniej przyjemne cechy. Po pierwsze poruszało się zdecydowanie zbyt szybko. Wiatr, a właściwie wschodni wicher, był chyba najbardziej przykrym elementem tych Wędrówek. Rozpędzał się nad jeziorem, a potem przemykał pomiędzy wzgórzami starając się w każdym miejscu dopaść turystę. Wciskał się pod skafander, tarmosił za spodnie i zrywał czapki. Drugą równie paskudną cechą była temperatura, to znaczy nieprzyzwoicie niska temperatura. W nocy to było podobno - 25º, rankiem, - „na dzień dobry" rosła do - 20º, a w południe było całkiem znośne - 15º. Gdy teraz połączyć te dwie cechy i wyobrazić sobie narciarza, który właśnie wdrapał się na szczyt wzniesienia, to naprawdę było mu nie wesoło.

Na skraju bagna Syberia znajduje się ogromna wieża widokowa, gdy dotarliśmy do niej we czwartek większość osób wlazła na szczyt, na znajdujący się tam taras widokowy. Widok zaiste piękny, ale wiatr tak się dawał we znaki, że po dwóch czy trzech minutach wszyscy, czym prędzej schodzili, mocno trzymając się poręczy. Gdy nazajutrz, w piątek, los ponownie zagnał nas w okolicę wieży nikomu nie przyszło do głowy, aby wdrapać się na nią i popatrzeć z góry. Jak widać żywioł Powietrza potrafi skutecznie „spacyfikować" wszelkie, zbyt ambitne pomysły wywyższania się ponad otoczenie.

******

I to byłoby na, tyle jeśli chodzi o te wydumane, „filozoficzne" opisanie naszego pobytu w Platieliaj. Gdybym opowiadał o Wędrówkach w normalny sposób, przede wszystkim wspomniałbym o najważniejszym Żywiole, czyli Uczestnikach. To grupa naprawdę wyjątkowych osób. Trzeba być nieźle „zakręconym", aby „- nasty" rok, dźwigając narty, ciężki plecak lub torbę, jechać kilkaset kilometrów w nieznane! A potem cieszyć się radością Wędrowania, cieszyć się ze spotkania z Przyjaciółmi i być Szczęśliwym niezależnie od tego, co przyniesie Los! A więc – do zobaczenia na szlaku i radujmy się, na przekór wszystkim Żywiołom!